

Cuda, cuda w tej budzie, czyli chapeau bas za musical w poznańskim bieda-teatrze

"Jekyll & Hyde" w reż. Sebastiana Gonciarza w Teatrze Muzycznym w Poznaniu.
Pisze Błażej Kuszczelski.

Siedem lat po polskiej prapremierze amerykańskiego musicalu "Jekyll & Hyde" na scenie chorzowskiego Teatru Rozrywki, przyszła kolej na jego drugą realizację. Powążył się na nią poznański Teatr Muzyczny, z pewnością sytuujący się dotąd o klasę niżej od czołówki krajowych scen musicalowych, mający wszakże pod nową dyrekcją ambicję, aby ten stan rzeczy zmieniać.

Nic dziwnego, że premiera miała być nową wizytówką teatru kierowanego przez Przemysława Kieliszewskiego, niejako papierkiem lakmusowym, pokazującym w jakim miejscu jest teraz poznański Teatr Muzyczny i ku czemu zmierza. I jaki jest pierwszy efekt? Nad wyraz udany, po prostu bardzo profesjonalny.

Kanwą musicalu "Jekyll & Hyde", czerpiącego pomysł z noweli Stevenson'a, jest mroczna opowieść grozy, która rozgrywa się w Londynie w drugiej połowie XIX wieku, połączona w jedno z klasyczną powiastką science fiction i melodramatem z udziałem trójkąta. Oto zdolny lekarz, doktor Jekyll, nie uzyskując zgody na eksperymenty medyczne na pacjentach szpitala, postanawia wypróbować wynaleziony przez siebie specyfik na samym sobie. Jednak ów preparat zmienia jego osobowość i zarazem fizis. W efekcie Jekyll przemienia się co rusz w pana Hyde'a, bezwzględnego seryjnego mordercę, który jednak nie popełnia zbrodni z powodów irracjonalnych, z czystego szaleństwa, bowiem jak się wydaje, kieruje się motywem: morduje kolejno członków rady nadzorczej, która nie zgodziła się na eksperymenty na pacjentach szpitala. Oczywiście w swym szaleństwie Hyde znajduje moralne uzasadnienie, karząc ich za hipokryzję, np. biskupa przebija nożem, widząc, jak oplaca się kobiecie lekkich obyczajów za jej usługi. W swoim mniemaniu wymierza im wszystkim "sprawiedliwość". Zabija nawet prostytutkę Lucy - czującą do niego oprócz strachu także zmysłowy pociąg, i którą on też pożąda - być może dlatego, aby ją uchronić w swym mniemaniu od podłego losu, lub by nie wybrała zamiast niego Jekylla.

W końcu ów nieszczęsny doktor Jekyll, któremu coraz trudniej znaleźć antidotum na preparat, powodujący u niego rozdwojenie jaźni i cykliczną przemianę w psychopatę Hyde'a. Wiedząc, że nie panuje już nad swoim nieświadomym "ja", nad odmienioną osobowością, wywołującą katastrofalne skutki, sam siebie unicestwia.

e-teatr.pl

O czym więc w istocie jest ten musical? Najkrócej rzecz ujmując: o hipokryzji (zwłaszcza tych uprzywilejowanych w drabinie społecznej), o pysze i wierze we własną omnipotencję (co może grozić wybitnym umysłem), ale i o ambicji i poświęceniu w dążeniu do odkryć naukowych, które mogą pomóc chorym. Jest też przestrożą przed pochopnymi, czasem w ogóle nieuprawnionymi eksperymentami medycznymi na ludziach, zwłaszcza mającymi modelować ich psychikę, i o możliwych katastrofalnych skutkach takich działań; wreszcie o dwoistości ludzkiej natury, skutkiem czego dobro ciągle walczy w nas ze złem. Ta przypowieść sceniczna budzi też inne skojarzenia: miewamy czasem sny, marzenia czy wyobrażenia, które nas samych przytłaczają lub wprawiają w konsternację, choć ich w rzeczywistość nie przekuwamy. I wreszcie historia Jekylla-Hyde'a przywołuje też odległą analogię z... narkomanią lub alkoholizmem; pod ich wpływem człowiek też traci nad sobą kontrolę, staje się jakby kimś innym, a bywa, że ujawnia "zwierzęce" instynkty lub nawet staje się zabójcą.

Ale nie okłamujmy się, musical ma przede wszystkim "czarować" swoją muzyką, wokalną maestrią i efektownym kształtem scenicznym. I tu trzeba przyznać, że twórcy spektaklu są autorami prawdziwego cudu. Przykładowo: to czego dokonał scenograf Mariusz Napierała na małej scenie, jaką jedynie teatr dysponuje, to prawdziwe mistrzostwo. Dzięki jego inwencji rzeczywistość sceniczna przemienia się błyskawicznie, płynnie i efektownie, jak w kalejdoskopie. I to za sprawą jakże prostych, subtelnych środków: zmiennej kompozycji świateł, nader funkcjonalnego tła, które przybiera rozmaite wizualne kształty, oraz kilku ruchomych elementów dekoracyjnych, jak lampa uliczna, łóżko czy schody-drabina (laboratorium Jekylla to jedyny duży ruchomy element scenograficzny, który kilka razy pojawia się na scenie). Dzięki temu widz przenosi się - i to bardzo sugestywnie - co rusz gdzie indziej: do szpitala, sali posiedzeń, na ulicę, przed knajpę, na scenkę w tymże tandetnym lokalu, do kościoła, garsoniery kabaretowego wampa i prostytutki, w nocną pustkę, w mroczną psychikę Hyde'a itd. itd.

Piotr Deptuch, szef muzyczny przedstawienia, znakomicie przygotował i prowadzi orkiestrę. Ruch sceniczny (Paulina Andrzejewska) jest sprawny i dynamiczny, czego przykładem demony otaczające nieszczęsnego Hyde'a niczym trawiące go płomienie, które w jego psychice wywołują pożar. Ogromną z kolei zasługą reżysera Roberta Gonciarza jest to, iż zbudował zwartą, efektowną całość, nadał przedstawieniu tempo, rytm i dynamikę. Zrobił wszystko, co można było na tej małej scenie uczynić. Wzorowo poprowadził sceny zbiorowe, w których zespół poznańskiego teatru wykazał się dyscypliną ruchową, wokalną i temperamentem.

Nie wszystko jeszcze zagrało, jak trzeba. Albo kiepska akustyka sali (zwłaszcza pod klaustrofobicznym balkonem), albo jeszcze pewne niedociągnięcia w operowaniu nową

e-teatr.pl

aparaturą nagłośnieniową sprawiły, że niektóre wysokie dźwięki - w przypadku niektórych śpiewaków - brzmiały nazbyt głośno, zbyt ostro, deformując słowa. Także fragmenty partii chóralnych bywały "nieczytelne", niezrozumiałe w warstwie tekstowej, może trochę przez fakt pogoni za dynamiką, dramatyzmem i głosowym forte. Ale zapewne to wszystko - jeśli mam rację - można poprawić.

Musical ma charakter dramatyczno-romantyczny zgoła, więc i muzyka brzmi - rzekłbym - monumentalnie, adekwatnie do nastroju scen i całości. Spośród bardzo wielu utworów wokalnych, na jakich opiera się ten musical (partii mówionych jest naprawdę niewiele, a nawet niektóre partie dialogowe wpisane są w strukturę wokalno-muzyczną), świetnie brzmią śpiewane "monologi" Jekylla, podobać się też mogą (muzycznie) partie liryczne traktujące o uczuciach, jakie rodzą się między Jekyll'em a Emmą - jego szlachetną narzeczoną i Lucy - kobietą lekkich obyczajów i wampem kabaretowym, pragnącą delikatności i miłości.

W roli Jekylla - to drugi cud - występuje (w I obsadzie) znakomity aktor musicalowy, znany z występów na różnych scenach - Janusz Kruciński. Bez jego udziału (a zapewne i jego zmiennika Damiana Aleksandra) nie byłoby tego musicalu lub straciłby wiele ze swej jakości. Stworzył świetną rolę: aktorsko i wokalnie, dojrzałą, perfekcyjną i efektowną głosowo, dramaturgicznie pełną. Zapewne fakt, iż grał tę postać w tym samym musicalu na scenie chorzowskiej, sprawił, iż miał ogromne doświadczenie w konstruowaniu tej postaci i nie musiał jej budować od początku. Mocne wokalne role stworzyła też Marta Wiejak jako Lucy i Edyta Krzemień jako Emma. Oszczędnie, ale precyzyjnie zarysowały swe postacie. Tych troje wykonawców mogło też imponować idealną dykcją.

Nie sposób zapomnieć, iż musical "Jekyll&Hyde" opiera się przede wszystkim na partiach wokalnych tytułowej postaci. W dodatku w jej przypadku przemiana osobowości wymaga nie tylko zmiany wyglądu i sposobu poruszania się, ale i odmienionej, chropawej barwy głosu. Janusz Kruciński doskonale sobie z tym radzi. W songu "Konfrontacje" musi nawet uwiarygodnić zewnętrznymi środkami wewnętrzny dialog samego z sobą, a więc co chwila zmieniając się z Jekylla w Hyde'a i na odwrót. To bezdyskusyjne, że ta rola stanowi jedno z największych wyzwania dla musicalowego wykonawcy.

Muzyka do tego musicalu powstała w latach 80. XX wieku i - jak trafnie zauważa w programie Piotr Deptuch - tkwi całkowicie w stylistyce amerykańskiego popu. Przyznam, iż nie jestem admiratorem ani tego stylu, ani też musicali kostiumowych, zwłaszcza tych opartych na literaturze XIX-wiecznej, tych "romantycznych" i przyprawionych "grozą". Wolę takie jak np. "Chicago", "Kabaret", "Chorus Line", czy choćby bezpretensjonalną "Mamma mia" - także w wersjach filmowych, a z kostiumowych - "Jesus Chris Superstar". Z polskich zaś scenicznych produkcji muzycznych czuję wciąż wielki sentyment dla pamiętających dawne czasy "Złego zachowania" (tego z Ateneum), "Kolędy nocki", "Decadance" (poznański

e-teatr.pl

Teatr Nowy), "Łyżek i księżyc" (poznański Teatr Polski) czy "Metra". Nie mniej, odkładając na bok osobiste preferencje, chapeau bas za musical przy ulicy (nomen omen) Niezłomnych, który stanowi milowy krok do przodu w dziejach poznańskiego Teatru Muzycznego.

Profesjonalizm tego spektaklu obnaża jednak nędzę miejsca, w którym jest grany, a więc koszarne warunki w nim panujące. Mam na myśli małą i płytką scenę godną strażackiej remizy oraz salę o standardzie PRL-owskim i to z czasów Gomułki, z fatalną widocznością (widz z dalszych rzędów często zmuszony jest oglądać scenę w "planie amerykańskim" lub "średnim").

Na szczęście dyrektor Kieliszewski także dokonał cudu (to już trzeci cud w tym przypadku) jako menedżer-impresario. Nie tylko zainstalował scenę obrotową (która ładnie zagrała parokrotnie), nie tylko zakupił nowy sprzęt m.in. nagłaśniający, nie tylko dobrał sobie nowych artystycznych współpracowników, ale w dodatku w tym konkretnym musicalu zapewnił teatrowi i publiczności udział świetnych twórców i wykonawców musicalowych spoza Poznania, prawdziwych fachmanów. Dzięki temu wspomaganemu teatr poznański pokazał, że na tej małej, kameralnej scenie można wykreować kameralny, ale jakże dynamiczny i efektowny spektakl muzyczny.

Błażej Kuszczalski
Materiał nadesłany
13-10-2014